

**TEATR POLSKI** Jedni zerwali się do owacji, drudzy manifestowali niezgodę na przedstawienie Dana Jemmetta. „Szkoda, że jest nierządnicą” dzieli widzów. Ja jestem jak najbardziej za

Jacek Wakar, Polskie Radio

**B**rytyjski artysta należy do cudzoziemskiego zaciągu reżyserów, którzy wraz z początkiem dykcji Andrzeja Seweryna zaczęli pracę w Polskim. Należy do nich choćby Ivan Alexandre – to jemu zawdzięczamy niedocenionego „Cyda” Corneille’a jako historyczną, a mimo to zaskakująco świeżą rekonstrukcję. No i Jacques Lassalle, tyle że on pracował wcześniej z wielkimi sukcesami w Narodowym. Najwcześniej jednak dał się poznać jako inscenizator „Mizantropa” i „Don Juana” Moliere’a z tytułowymi rolami polskiego aktora. Wiadomo zresztą, że Seweryna i Lassalle’a poza teatrem połączyła najprawdziwsza przyjaźń.

Dan Jemmett ma w tym zestawieniu szczególne miejsce. Najpierw pokazał Warszawie swoją wizję „Wieczoru Trzech Króli” Szekspira, brutalnie zderzając świat klasycznego kanonu z banałem pop współczesności. Wyostrzył i tak chwilami dosadny humor komedii autora „Hamleta”, kazał aktorom jak najmocniej akcentować emocje bohaterów. Potem zaś zmierzył się z „Burzą”, partię Prospera powierzając Sewerynowi. I sądząc po reakcji krytyków, przegrał, chociaż nie zgadzam się z tą oceną. W interpretacji Jemmetta wielki mag stał się zgorzkniałym, popijającym whisky z gwinta kloszardem, co to już dawno złamał czarodziejską różdżkę, o ile kiedykolwiek ją w ogóle miał. Świat tej „Burzy” został zdegradowany, pozbawiony obecnej w dziele Szekspira wiary w siłę iluzji. W „Burzy” z Polskiego została szara, skwiercząca rzeczywistość. Prawda, że czasem celowo przerysowana.

Po dwóch przedstawieniach polubiłem polski teatr angielskiego reżysera. Kiedyś widziałem jedną z jego prac z Comédie-Française (grał w tym spektaklu Seweryn) i kompletnie mi się nie podobało. Bo humor gruby, a forma jakaś taka archaiczna. Tymczasem w Polskim Jemmett być może ryzykuje bardziej, bo jego propozycje to od lat najbardziej radykalny nurt repertuaru

# Granice moralności



MARTA ANKERSZTEJN/TEATR POLSKI W WARSZAWIE

sceny przy Karasia. Do tego te spektakle wręcz manifestacyjnie podkreślają swą teatralność, chcą być przede wszystkim atrakcyjnym widowiskiem. Dlatego często wyrzekają się półtonów. Gdzie można zagrać piano, uderzają forte. Bywa jednak, że zaskakują subtelnością. Przy tym ma Anglik rzadką wśród kolegów po fachu zdolność rozpoznawania konwencji i żonglowania nimi. Od krwawego dramatu przechodzi do wyraźnym ściegiem szytej farsy. Czyni to podczas jednej lub najwyższej dwóch sekwencji i na pierwszy rzut oka widać, iż sprawia mu to perwersyjną wręcz przyjemność.

Pod tym względem „Szkoda, że jest nierządnicą” nie różni się od poprzednich propozycji Jemmetta w Polskim. Sięgnął tym razem po najbardziej znaną sztukę Johna Forda, który uznany został za najważniejszego dramaturgów Anglii w epoce jakobińskiej. Już na początku XVII wieku Ford w swej twórczości nie stronił od krytyki panujących współcześnie stosunków społecznych i zadawania niewygodnych pytań. „Szkoda, że jest nierządnicą” stanowi takiej strategii wyjątkowy przykład. Niewiele mamy przecież sztuk, których bohaterowie pozostają ze sobą w kazirodczym związku, gotowi ponieść tego wszystkie konsekwencje i absolutnie swych decyzji nie żałując.

Nieco więcej takich, gdzie miłość traktowana jest jedynie jako argument przetargowy, element na wskroś handlowego układu, gdzie prawdziwe uczucia nie mają żadnego znaczenia. Zdarzają się dramaty kwestionujące fałszywą moralność mieszczańskich społeczeństw, poddające krytyce wyznawane przez nie kodeksy pozornych wartości. Rzecz w tym jednak, że dzieło Forda wpisuje się w ten nurt, a jednocześnie pozostaje poza nim. Trudno bowiem odnaleźć w „Szkoda, że jest nierządnicą” jednoznaczne oceny. Miłość Annabelli i Giovanniego jest gorąca i prawdziwa – temu trudno zaprzeczyć. Autor jednak spogląda na tę parę chłodnym okiem. Każę widzowi rozsądzić, po czyjej stronie stanie. Za młodymi buntownikami czy konserwatywnie nastawioną zbiorowością?

Spektakl w Teatrze Polskim zachowuje rytm frazy Forda, ale osadzony jest poza konkretnym czasem. Scenograf Dick Bird wypuścił między rzędy Sceny Kameralnej długi podest, gdzie umieszczono lwią część akcji. Aktorzy są więc blisko nas, nie mają jak i wcale nie chcą się ukryć. Istnieją niczym modele na wybiegu: wszystko na pokaz. Dochodzi jeszcze przemyślana kompozycja przedstawienia z intermediami wypełnionymi dynamicznie dyktującą tempo muzyką. Wszystko

skąpane jest w oślepiającym czasem świetle i niebieskim dymie. Jemmett i jego ludzie – oprócz scenografa jeszcze autorka znakomitych kostiumów Sylvie Martin-Hyszka oraz reżyser światła Arnaud Jung – nie zamierzają bawić się w półśrodku.

Układa się to w piekielnie atrakcyjną opowieść o granicach moralności i początku niemoralności. O opresji, jaką zsyła na indywidualistów funkcjonująca według niezmiennych norm zbiorowość. Jemmett nikogo nie sędzi. Wskazuje tylko, jak wiele z dawnego dramatu Forda zachowało do dzisiaj niepokojącą aktualność.

„Szkoda, że jest nierządnicą” to również test dla aktorów Teatru Polskiego. Jedni w ostrej konwencji widowiska odnajdują się znakomicie (brawa dla Joanny Trzepiecińskiej, Piotra Cyrwusa, Szymona Kuśmidra), inni stawiają na naturalność i w ten sposób wygrywają (główne role Marty Kurzak i Maksymiliana Rogackiego). Objawieniem wieczoru jest Krzysztof Kwiatkowski jako Bergetto. Z pozoru gra go slapstickowymi wręcz trickami, ale pod nimi skrywa tragedię człowieka wiecznie odrzucanego. ©P

„Szkoda, że jest nierządnicą” Johna Forda | reżyseria: Dan Jemmett | Teatr Polski w Warszawie

